

Łukasz Warzecha: Polskość i wolność

Pięknie byłoby znów unieść się narodową dumą i zawołać: „Polskość znaczy wolność!” – rozumiejąc przez to bardziej nawet swobodę osobistą niż wolność w sensie maksymalizacji suwerenności państwowej. Byłby to jednak fałsz. To skojarzenie ma już dzisiaj jedynie wartość muzealną – pisze Łukasz Warzecha w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Temat: polskość”.

I

*Leć nasz orle w górnym pędzie,
Sławie, Polsce, Światu służ.
Kto przeżyje, wolnym będzie;
kto umiera, wolnym już!*

W takiej postaci cytuje „Warszawiankę” Stanisław Wyspiański w dramacie pod tym właśnie tytułem, napisanym w latach 90. XIX wieku. Te wersy zna każdy, kto ma w miarę kompletną wiedzę o polskich fundamentach. To jednak tylko jedno z bardzo wielu miejsc, gdzie dokonano połączenia Polski i bycia Polakiem z wolnością.

Ciekawe, że „Warszawianka” w oryginalnej, francuskiej wersji została podczas powstania listopadowego napisana przez Francuza, Casimira Delavigne’a, jako „La Varsovienne de 1831”, mówi zatem o tym, jak widziani jesteśmy z zewnątrz w momencie już trzeciego – po konfederacji barskiej i powstaniu kościuszkowskim – daremnego zrywu. Pierwszego pod całkowitą obcą dominacją.

*Victoire à l'étendard que l'exil ombragea
Des lauriers d'Austerlitz, des palmes d'Idumée!
Pologne bien-aimée,
Qui vivra sera libre, et qui meurt l'est déjà!*

Tak brzmi oryginał Delavigne’a. Francuz musiał oczywiście przywołać Austerlitz (a więc dzisiejszy Slavkov u Brna) oraz Idumę, inaczej nie byłby sobą, lecz połączenie Polski i wolności niezmiennie jest tu obecne. W dodatku w najbardziej straceńczej postaci: natychmiastowa wolność to śmierć za sprawę.

Jak śpiewał Jacek Kaczmarski w „Panu Wołodyjowskim”:

Trzęsie się z płaczu pan Zagłoba
Nad symboliczną Polski trumną
I krwi nie woła, sam nad grobem,
Bo umrzeć łatwo, żyć jest trudno

Można oczywiście powiedzieć, że w tamtej epoce czy nawet przez większość XIX w. jest to normalne w przypadku tych krajów, które trwały w zależności.

Tu jednak chodzi o coś więcej: o nieodparte, automatyczne skojarzenie polskości z pojęciem wolności. Oba te słowa były i są nadal wypowiedane na jednym oddechu – z tym że obecnie przede wszystkim przez polityków przy oficjalnych okazjach. Problem w tym, że to wielki fałsz, a przynajmniej gruntowne nieporozumienie.

Posłuchaj również: [" target="_blank">Łukasz Warzecha gościem podcastu Teologii Politycznej „Gabinet cieni: Nieskończenie Polski”](#)

II

Każde syntetyczne spojrzenie na historię, zwłaszcza przez publicystę, a nie zawodowego historyka, niesie ryzyko nadmiernych uproszczeń i subiektywizmu. Mimo to uważam, że mam tutaj do niego prawo – właśnie korzystając z publicystycznej licencji. Spójrzmy zatem syntetycznie i w sporym uproszczeniu na dziwne kolejne losy naszego narodu i państwa w powiązaniu z kwestią wolności.

Ten przegląd możemy zacząć od XVI w., uznawanego przez większość znawców za wiek złoty Rzeczypospolitej. Mimo perturbacji, które przechodziło każde państwo, można zaryzykować twierdzenie, że w okresie ostatnich Jagiellonów polska wolność była jedną, połączoną wolnością: ta rozumiana jako wysoki poziom suwerenności państwowej

(ważna uwaga: suwerenność nie jest zero-jedynkowa, jest jak najbardziej stopniowalna) była nieodmiennie związana z tą rozumianą jako wolność osobista. To bardzo ważne, kluczowe rozróżnienie dla tych rozważań.

Potem jednak te dwa rozumienia wolności zaczynają się rozjeżdżać: im bliżej jesteśmy XVIII w., tym bardziej kwestia wolności osobistej, rozumianej coraz dowolniej i szerzej, dominuje nad wolnością w sensie państwowej suwerenności. Dochodzi do paradoksu: dla wielu obywateli podtrzymanie odpowiedniego poziomu osobistej wolności musi się wiązać z rezygnacją z kolejnych elementów suwerenności państwowej. Osobistej wolności w Polsce przed wydumanymi absolutystycznymi zakusami mają strzec zewnętrzni aktorzy.

Losy Polski i potężnych państw kontynentu się rozchodzą. Te drugie idą w stronę absolutyzmu, niesprzyjającego wolności osobistej, ale sprzyjającego spójności państw. Dopiero co miałem okazję przyglądać się konnemu pomnikowi Christiana V, króla Danii i Norwegii, stojącemu w centrum Kopenhagi, na placu Kongens Nytorv. Christian V, rządzący w latach 1670-1699, zapatrzył się w młodości, w czasie europejskiej podróży, na absolutystyczne rządy młodego Ludwika XIV, po czym wprowadził ten sam system w Danii jako pierwszy, podążając za trendem, który dla większości wydawał się oczywisty. Nie w Polsce jednak – prawie dokładnie w tym samym czasie naszym krajem rządził Jan III Sobieski, który mógł jedynie marzyć o jedynowładczej potędze Króla-Słońce (dojrzewanie tego władcy wspaniale opisał Aleksander Dumas w drugiej i trzeciej części trylogii o d'Artagnanie, Portosie, Aramisie i Atosie) czy Christiana V.

Symboliczna w tej opowieści jest data 9 marca 1652 r., gdy poseł ziemi upickiej Władysław Wiktoryn Siciński nie zgodził się na przedłużenie obrad Sejmu, po raz pierwszy sięgając po liberum weto – narzędzie, które potem stosowane było coraz częściej jako instrument realizacji obcego interesu, a o które do dzisiaj trwają zacięte spory. To bowiem z jednej strony najbardziej wolnościowe rozwiązanie, jakie można sobie wyobrazić, z drugiej – środek bardzo groźny dla stabilności państwa.

Wiek XVIII to już najpierw wojna północna, a potem lawinowo narastające obce wpływy. Jak śpiewał Jacek Kaczmarski w piosence *Elekcja*:

*Ten Prusom gardłuje, ten Wiednia partyzant,
Ów ruskiej się chwyta sukienki.
A troską każdego szczęśliwa ojczyzna,
Stąd modły, przekleństwa i jęki.*

Skończyło się to, jak wiadomo, rozpaczliwym rzutem na taśmę w postaci Konstytucji 3 Maja, uchwalonej właściwie poprzez swoisty zamach stanu, a poprzedzonej Prawem o Sejmikach, które wprowadzało cenzus majątkowy. Był to jednak łabędzi śpiew Rzeczypospolitej. Nie da się w dwa lata nadrobić całych dekad ewolucji organizmów państwowych.

W XIX wieku dzieje się coś dla Polaków absolutnie fatalnego i mającego konsekwencje do dzisiaj. Poszczególne części rozebranego państwa mają różne poziomy suwerenności (zabór austriacki – najwyższy, pruski – średni, rosyjski – zmienny, momentami całkiem wysoki, potem znów najniższy, co w części jest skutkiem naszych własnych poczynań), natomiast sprawę narodową dominuje jedno spojrzenie: optyka zaboru rosyjskiego. Nie wgłębiając się w rozważania o racjonalności dwóch wielkich narodowych powstań, jakie w nim wybuchły (a do których mam jednoznacznie krytyczny stosunek), skutek dla naszej mentalności jest dramatyczny. Podczas gdy nowoczesne narody mają dziesięciolecia na budowanie swojej zamożności w warunkach tworzącego się kapitalizmu – systemu najbardziej w historii sprzyjającego wzrostowi poziomu życia oraz przygotowywaniu nowoczesnych mechanizmów ochrony obywatelskiej wolności, Polacy tkwią w chocholim tańcu, genialnie ukazanym w *Weselu*. Mimo że w Prusach budują biznesy i tworzą stronnictwo w parlamencie; mimo że w Austro-Węgrzech wielu bierze udział w życiu politycznym również jako wysoko postawieni cesarsko-królewscy urzędnicy – świadomościowo liczy się tylko rewolucyjne, straceńcze podejście z zaboru rosyjskiego. Na nim także po odzyskaniu niepodległości budowana jest cała mitologia ponownie wolnej Rzeczypospolitej.

Przeczytaj również: „Powrót duszy polskiej” – Paweł Rojek

Kto wie, że po krótkim epizodzie konspiracyjnym jeden z największych polskich naukowców XIX wieku, Ignacy Łukasiewicz, osądzony i uwolniony z braku dowodów, nigdy już do działalności narodowyzwoleńczej nie wrócił (choć wspierał finansowo powstanie styczniowe), za to pod koniec życia został posłem na Sejm Galicyjski? Za to straceńcza misja Romualda Traugutta jest powszechnie

kojarzona. Inna sprawa, że bez uwzględnienia poruszającego oświadczenia dyktatora powstania, złożonego do protokołu, w którym ten powiedział: „Powstania nikomu nie doradzałem, przeciwnie, jako były wojskowy widziałem całą trudność walczenia bez armii i potrzeb wojennych z państwem słynącym ze swej potęgi. Gdy zbrojne powstanie wybuchnąć miało w okolicy mojego zamieszkania... udano się do mnie błagając, abym objął dowództwo... Zgodziłem się wtedy na prośbę, bo jako Polak osądziłem za mą powinność nieoszczędzania siebie tam, gdzie inni wszystko poświęcili...”.

Dlaczego XIX w. jest tak ważny? Ponieważ pod wpływem dominacji powstańczej narracji pojęcie wolności zostaje utożsamione z tylko jednym jej rodzajem: z maksymalizacją poziomu państwowej suwerenności. Drugi rodzaj wolności, wolność osobista, złota wolność, kojarzona – częściowo zresztą słusznie – z anarchizacją I RP, a więc z przyczynami jej upadku, zostaje uznana za niegodną wsparcia, a przynajmniej za nieważną. Co więcej, porządek insurekcyjny wzmacnia perspektywę wspólnotową – dla wspólnej walki trzeba poświęcić wszystko, z wolnością osobistą włącznie.

XIX-wieczna powstańcza mitologia poczyniła ogromne wyrwy w obrazie historycznej prawdy. Wielu Polakom wydaje się od dawna, że oba wielkie narodowe zrywy były powszechne, co jest kompletną nieprawdą. Większa część narodu i w roku 1830, i w 1863 starała się po prostu przetrwać i nie odnosiła się do powstańczych działań entuzjastycznie. W kontekście powstania styczniowego pokazywał to Żeromski w *Wiernej rzece* albo *Rozdziobią nas kruki, wrony...*, ale chyba najlepiej ukazał to Juliusz Machulski w niedocenianym *Szwadronie* z 1992 na podstawie opowiadań Stanisława Rembeka.

To ważne, ponieważ zabory, a następnie rzeczywistość PRL nie sprzyjały kultywowaniu osobistej wolności. Ta część obywateli, która w XIX w., ale również w latach 1944-1989 nie brała udziału w suwerennościowych zrywach (lub brała na zasadzie owczego pędu i tylko przez moment, jak w czasie „rewolucji” „Solidarności” w latach 1980-1981), skupiała się na tym, żeby żyć możliwie normalnie. To zaś nie oznaczało otwartego domagania się realizacji oficjalnie gwarantowanych wolności i swobód, lecz kombinowanie. Co ciekawe, samo to pojęcie – kombinowanie – w znaczeniu „sprytne poszukiwanie niekoniecznie zgodnego z prawem rozwiązania” jest unikatowe dla języka polskiego. System państwowy, narzucony zewnątrz, był naszym wrogiem, więc nie staraliśmy się go zmieniać od środka, ale albo obalić – to frakcja powstańcza, której celem nie była osobista wolność, ale maksymalizacja suwerenności – albo oszukać – to cała reszta. Nie przeszliśmy zatem etapu ćwiczeń z nowoczesnej wolności, jaki mają za sobą Francuzi, Niemcy, Holendrzy, Brytyjczycy.

IV

Gdybyśmy dzisiaj, w najnowszej historii Polski, szukali przejawów tej mitycznej miłości Polaków do wolności – nie znajdziemy. Bodaj ostatnim bezinteresownym i bardziej masowym protestem, gdzie kwestia wolności odgrywała rolę, były protesty przeciwko ACTA, które wybuchły w 2012 r. Wszystkie inne większe protesty – takie jak przeciwko zmianom w sądownictwie czy wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji – niewiele miały wspólnego z wolnością osobistą. Faktycznie były animowane przez jedną ze stron politycznego konfliktu.

Przeczytaj również: Wspólnota, która ma ojczyznę – rozmowa z Krzysztofem Kosełą [TPCT 501]

Jednocześnie zakres naszej osobistej wolności w ciągu ostatnich przynajmniej dwóch dekad – jeżeli za symboliczną datę uznać przystąpienie do UE w 2004 r. – drastycznie się zmniejszył. Nasze życie jest przeregulowane w zasadzie w każdym wymiarze, unijne prawodawstwo jest implementowane do polskiego systemu prawnego często na 150 albo 200 procent. Mnożone są kary, nakazy, zakazy. Szukając wytłumaczenia bierności Polaków wobec tej sytuacji można by powiedzieć, że strategia salami sprawia, iż obywatele nie zdają sobie sprawy z tego, co się dzieje. Czy jest to wystarczające usprawiedliwienie bezczynności – ocenę pozostawiam czytelnikom. Jednak bywały i takie sytuacje, gdy restrykcje miały charakter nagły i bardzo widoczny – jak podczas pandemii, gdy brutalnie i wręcz ostentacyjnie bez uzasadnienia wkraczano w sferę obywatelskich swobód. I nic. Nie było żadnej reakcji poza rachitycznymi protestami skrajnych środowisk, choć w tym samym czasie masowe protesty wybuchały w Wielkiej Brytanii, Holandii czy nawet Niemczech. Moje wyjaśnienie tego stanu rzeczy to wspomniany wyżej nawyk kombinowania i przekonanie, że restrykcje zawsze jakoś uda się obejść.

Z tym klasycznie polskim podejściem są jednak dwa ogromne problemy. Po pierwsze – to nie jest podejście wolnych obywateli, którzy w obronie swoich praw zawiązywali niegdyś konfederacje albo wszczynali rokosze, ale podejście niewolników. Po drugie – przekonanie, że jakoś zawsze się uda, jest coraz bardziej złudne w epoce rozbuchanej inwigilacji, sztucznej inteligencji i cyfrowych rozwiązań.

Pięknie byłoby znów unieść się narodową dumą i zawołać: „Polskość znaczy wolność!” – rozumiejąc przez to bardziej nawet swobodę osobistą niż wolność w sensie maksymalizacji suwerenności państwowej. Byłby to jednak fałsz. To skojarzenie ma już dzisiaj jedynie wartość muzealną. Obserwacja nastrojów, sondaży, wyników wyborów każe wręcz postawić tezę, że dla większości współczesnych Polaków osobista wolność nie ma większego znaczenia. Jej miejsce zajęły kompleksy, realizujące się w przeświadczeniu, że doszłusowanie do „starej” Europy oznacza bierne poddanie się wszystkiemu, co narzuca państwo, zaś wynoszone na piedestał w kontekście zwłaszcza narodów skandynawskich zaufanie do tegoż państwa oznacza zakaz krytykowania jakichkolwiek regulacji. Symbolem tej postawy jest „nowoczesny patriota” pracowicie i bez zadawania pytań zbierający psie kupy z trawnika. Albo – by sięgnąć po nowszy przykład – posłusznie odnoszący plastikowe butelki do punktu zbiórki.

Tragedia polega zatem nie tylko na tym, że zatraciliśmy dokumentnie upodobanie dla osobistej wolności, ale jest nawet gorzej: leczymy nasze kompleksy, wręcz domagając się większego zniewolenia, wyobrażając sobie, że to buduje naszą dojrzałość, zapatrzeni w rzekome ideały Zachodu, podczas gdy jego mieszkańcy paradoksalnie coraz częściej gotowi są bronić swojej osobistej wolności twardziej i bardziej zdecydowanie niż Polacy.

Łukasz Warzecha

**Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień”
[501]: „Temat: polskość”**

Ilustracja: *Natalia Szerszeń*